

KAROL MODZELEWSKI

Trzy modele historiografii

Historycy rozmaicie traktują swój fach i stawiają przed sobą rozmaite zadania. Spośród różnych sposobów traktowania historii przez historyków pozwolę sobie wyróżnić trzy najbardziej dziś rozpowszechnione. Pierwszy z nich, i zarazem najstarszy, bo starożytny, streszcza się w łacińskiej maksymie: *historia vitae magistra* (historia jest nauczycielką życia). Warto przypomnieć, że rzymskim autorom tej maksymy nie chodziło o wskazówki socjotechniczne, które na podstawie naukowej wiedzy o rzekomych prawach dziejowych pozwalałyby praktykować inżynierię społeczno-ustrojową, np. budować socjalizm lub – przeciwnie – kapitalizm. Starożytnym pisarzom, podobnie jak ich dzisiejszym naśladowcom, chodziło o płynące z historii nauki moralne. W ich ujęciu Pani Historia miała na lekcjach wychowania obywatelskiego uczyć nas, jak mamy żyć. Wiedza o przeszłości miała dostarczyć pozytywnych przykładów cnoty, które nauczycielka życia umieszczała na piedestale, oraz negatywnych przykładów nikczemności, które stawiała pod pręgierzem. Przykłady te miały nas zbudować moralnie i nauczyć zasad dobrego sprawowania.

Na gruncie tak uprawianej historiografii zadaniem historyka jest osąd. Badacz przeszłości jest kimś w rodzaju sprawiedliwego sędziego, nieugiętego prokuratora lub niezmordowanego tropiciela, niektórzy mówią złośliwie: policjanta. Jakkolwiek historiografia osądzająca jest zjawiskiem bardzo starym i już w XIX wieku próbowano złożyć ją do lamusa, wiek XX potwierdził jej żywotność. Zapotrzebowanie na ten rodzaj historiografii odczuwają bowiem szczególnie mocno narody po przejściach: Włosi po faszyzmie, Niemcy po narodowym socjalizmie, no i my po komunizmie.

W XIX wieku – stuleciu pary, elektryczności i scjentyistycznej wiary we wszechmoc nauki – pojawiło się na europejskich uniwersytetach nowe podejście do historii. Narodziła się historiografia pozytywistyczna, pretendująca do beznamiętnego, naukowego obiektywizmu. Odtąd zadaniem historyka miało być odtworzenie prawdziwego obrazu historii takiej, jaką ona rzeczywiście była (*wie es eigentlich gewesen*), bez wdawania się w jakiegokolwiek wartościowanie. Historiografia osądzająca, której sensem było piętnowanie lub wychwalanie, znalazła się poza nawiasem tak rozumianej nauki historycznej. Pozytywiści byli przekonani o własnym obiektywizmie. Uważali oni, że można i trzeba

wyeliminować wszelkie sądy wartościujące z naukowego dyskursu o przeszłości; wierzyli w możliwość rozstrzygnięcia sporów o interpretacje złożonych zjawisk społecznych i procesów historycznych w kategoriach prawdy i fałszu, tak jak się dowodzi prawdziwości lub fałszywości twierdzeń w naukach fizycznych lub chemicznych.

W pogoni za mirażem naukowego obiektywizmu badacze pozytywiści wykonali ogromną pracę i zgromadzili niepodważalny dorobek. Nie sposób przecenić ich zasług w budowaniu obowiązujących do dziś rygorów warsztatu historycznego. To oni ustanowili i udoskonalili subtelne procedury krytyki źródeł. Dzięki nim umiemy rozpoznawać falsyfikaty, wyodrębniać interpolacje, odczytywać palimpsesty, odróżniać dyktat wystawcy lub odbiorcy i określać kancelaryjną proveniencję dokumentów. Im zawdzięczamy krytyczne wydania podstawowych źródeł starożytnych i średniowiecznych oraz ich pierwsze kompleksowe interpretacje, dorobek nowoczesnej archiwistyki, słowem: podstawowe instrumentarium technik badawczych obowiązujących w naszym zawodzie. Pozytywiści byli olbrzymami, a my jesteśmy podobni karłom, którzy wdrapali się na ich ramiona. Usadowieni na ramionach wielkich poprzedników widzimy jednak dalej i więcej niż oni, wskutek czego stawiamy pod znakiem zapytania ich filozofię.

Narastający w dwudziestowiecznej humanistyce przełom antypozytywistyczny zakwestionował przede wszystkim jako nierealny postulat eliminacji sądów wartościujących z dyskursu nauk społecznych, w tym historiografii. Datę bitwy pod Grunwaldem można ustalić bez cienia wątpliwości, ale z tak ustalonej prawdy nie wynikają wnioski wielkiej wagi. Tezy bardziej doniosłe od stwierdzenia najprostszyc okoliczności faktycznych historyk buduje, wybierając z chaosu elementarnych informacji te, które są według niego ważne i układając z nich sensowne całości. Kryterium, według którego selekcjonuje on i układa w całość wybrane informacje, opiera się na ocenie ich ważności. Ocena ważności jest jednak bezsprzecznie sądem wartościującym. Żadna informacja nie jest ważna lub nieistotna sama przez się; staje się ona istotną lub nieistotną ze względu na przydatność lub zbędność w realizacji jakiejś wartości. Dotyczy to zapewne nie tylko humanistyki, ale i fizyki, tyle że w fizyce nie mamy do czynienia z konfliktem wartości, więc naukowe różnice zdań nie są tam uwikłane w aksjologiczne spory. W historiografii natomiast, podobnie jak w innych dyscyplinach humanistycznych, interpretacje złożonych zjawisk i procesów zawierają – w postaci ocen ważności sterujących doborem i układaniem informacji – wartościujący element konstrukcyjny, który budzi kontrowersje. Rozbieżne interpretacje są tu budowane w odniesieniu do systemów wartości, które pozostają ze sobą w konflikcie. Rozbieżności takie nie redukują się do treści empirycznych, gdyż zawierają zderzenie sprzecznych norm, z natury rzeczy niedające się rozstrzygnąć w kategoriach prawdy i fałszu.

Wydobycie na jaw aksjologicznego uwikłania wszelkich istotnych twierdzeń i sporów w humanistyce podważyło fundamenty pozytywistycznego wyznania wiary. W klimacie

intelektualnym antypozytywistycznego zwrotu, pod wpływem strukturalizmu oraz środowisk skupionych wokół paryskiego czasopisma „Annales” i brytyjskiego „Past and Present”, zrodził się w europejskiej historiografii nurt antropologizujący. Poczuję się do tej orientacji, siłą rzeczy więc charakterystyczny dla niej sposób pojmowania zadań historyka przedstawiam z mniejszym dystansem, niż to uczyniłem w stosunku do historiografii osądzającej i pozytywistycznej.

Historiografia antropologizująca nie wdaje się w osąd, ale też nie przedstawia siebie samej jako ucieleśnienia naukowego obiektywizmu. Poszukuje ona zrozumienia dawnych społeczeństw na drodze empatycznej interpretacji ludzkich działań. Historyk jest tu obarczony zadaniem podobnym do etnologa, gdyż bada kultury odmienne od swojej własnej. Jest on – wedle ulubionego powiedzenia uczniów Marka Blocha – kimś w rodzaju tłumacza: przekłada kategorie dawnych kultur na kategorie swojej kultury macierzystej, czyniąc je zrozumiałymi dla ludzi swojego czasu. Przekład ten opiera się na założeniu, że wszystkie kultury łączy wspólny zasób wartości uniwersalnych, które nie wyczerpują wprawdzie ich aksjologii, ale umożliwiają zrozumienie. Wymaga to od historyka wyobraźni antropologicznej, czyli szczególnego rodzaju przenikliwości, pozwalającej rozumieć myśli, słowa i czyny ludzi oddzielonych od nas upływem czasu i barierą kulturową odmienności. Używając tej wyobraźni i odpowiednio wzbogacając repertuar procedur badawczych, jaki otrzymaliśmy w spadku po pozytywistach, możemy kusić się o odtworzenie dawnych systemów wartości, więzi społecznych, wiedzy, umiejętności technicznych i mitów, które złożyły się na bieg historii i na długie trwanie jej dziedzictwa.

Tak rozumiana funkcja społeczna historyka nie jest do pogodzenia z rolą sędziego, prokuratora lub adwokata. W obliczu społecznego zapotrzebowania na rozliczenia z komunistyczną lub faszystowską przeszłością historyk powinien zdobyć się na odmowę uczestnictwa w prastarym rytuale oczyszczającym, który polega na wskazaniu czarnej owcy i obarczeniu jej własnymi grzechami. Dyktatury XX wieku opierały się nie tylko na przemocy. W większej jeszcze mierze czerpały one siłę z powszechnej niemal uległości i konformizmu. Był to konformizm małych wiernopoddańczych gestów, poczynając od udziału w farsie wyborczej lub pochodzie pierwszomajowym. Wtedy uważano, że jest to postępowanie może niemiłe, ale normalne – choć na tej normalności właśnie opierała się stabilność i legitymizacja dyktatury. Dziś to, co wtedy było normalne, uchodzi za haniebne, a w każdym razie pali wstydem. Rodzi to potrzebę pozbycia się wstydu przez wskazanie i potępienie kogoś bardziej konformistycznego i gorszego od nas: sekretarza komitetu partyjnego, oficera wywiadu, funkcjonariusza policji politycznej lub – najczęściej – konfidenta. Akt potępienia uwalnia nas od poczucia winy na zasadzie swego rodzaju autoegzorcyzmu: wypędzamy Złego z samych siebie i czynimy go złowieszczą siłą zewnętrzną, z którą nie mieliśmy i nie mamy nic wspólnego.

Jest to proceder moralnie dwuznaczny, bo zastępuje rachunek sumienia (zawsze przecież własnego) rachowaniem cudzych sumień. Ale historyk powinien odmówić udziału w tym procederze nie tyle z moralnych, ile z zawodowych względów. Akt auto-egzorcyzmu, czyli moralnego samowypielenia, sprawia, że stajemy wobec zła intelektualnie bezradni. Nie mamy go już w swoim wewnętrznym doświadczeniu, nie możemy więc go pojąć, możemy tylko potępić. Co gorsza, to nam wystarcza. Tymczasem historyk, który bada dyktatury XX wieku, musi zrozumieć sposób myślenia i postępowania hitlerowców lub stalinowców, czyli znaleźć w sobie samym coś podobnego do nich. Wczuwanie się wymaga współczucia; nie ma empatii bez odrobiny sympatii. Nie oznacza to, że musimy szczególnie miłować hitlerowców lub stalinowców, chociaż tym, którzy poważnie traktują ewangeliczne nakazy warto przypomnieć niewygodną prawdę, że byli to nasi bliźni. Próba ich zrozumienia nie jest przecież i nie powinna być usprawiedliwieniem. Nie sposób też odmówić badaczowi piszącemu o masowych zbrodniach ubiegłego stulecia prawa do ich osądu. Powinien on jednak wydać swój werdykt moralny po fajerancie. W toku postępowania badawczego osąd jest przeszkodą zamykającą drogę do zrozumienia. Nie powinien też badacz narzucać potępiającego werdyktu swoim czytelnikom. Czytelnik poważnych prac historycznych jest zazwyczaj człowiekiem dorosłym i od autora nie oczekuje moralnych pouczeń, lecz wiedzy, która ułatwi mu wyrobienie własnego sądu.

Tylko z pozoru jest to stanowisko zbieżne z tym, co głosili pozytywiści. Historiografia antropologizująca jest świadoma nieusuwalnej obecności sądów wartościujących i kontrowersji aksjologicznych w naszych interpretacjach i sporach. Głoszony przez pozytywistów postulat naukowego obiektywizmu, wciąż bardzo popularny wśród profanów, nie wytrzymał próby praktyki badawczej. Jedyna reguła, jaką w związku z tym postulatem udało się bezspornie sprawdzić, ma charakter gramatyczny: obiektywizm występuje zawsze i tylko w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Obiektywny jestem ja, subiektywni zaś – wszyscy moi oponenti. Nie jest to formuła godna dyskusji.

Moc obowiązującą zachowały natomiast w znacznej mierze wypracowane przez pozytywistów reguły warsztatowe. Wymagają one jednak istotnego uzupełnienia. Poza horyzontem metodologicznym pozytywistów pozostała bowiem okoliczność doniosła z punktu widzenia antropologii kultury: źródło historyczne jest komunikatem. Jest to w dodatku komunikat adresowany nie do nas. Przystępując do jego badania, znajdujemy się poniekąd w sytuacji człowieka, który czyta cudze listy bez pozwolenia nadawcy i odbiorcy. Związany z tym dyskomfort etyczny nie ma większego znaczenia w sytuacji, gdy obaj już dawno nie żyją, ale tym większe są nasze kłopoty ze zrozumieniem komunikatu. Obie jego strony posługiwały się bowiem kodem komunikacyjnym charakterystycznym dla kultury odmiennej od naszej. Niekiedy mamy dodatkowo do czynienia z kulturą różnicą między nadawcą a odbiorcą. Jest to reguła w narracjach starożytnych lub

średniowiecznych pisarzy, kronikarzy lub misjonarzy o ludach barbarzyńskich, a także nowożytnych kolonizatorów o afrykańskich lub amerykańskich tubylcach. Źródła te są produktem komunikacji między oralną kulturą tradycyjnych społeczności plemiennych a uczoną, piśmienną kulturą cywilizowanych autorów. Komunikacja między stronami takiego spotkania z innym była siłą rzeczy zakłócona przez rozmaite nieporozumienia, które historyk musi rozwikłać. Z komunikacją międzykulturową i towarzyszącymi jej nieporozumieniami mamy zresztą do czynienia także w źródłach sporządzonych całkiem niedawno i dotyczących wydarzeń, które ogarniamy własną pamięcią.

Wszystko to sprawia, że historyk nie może poprzestać na tradycyjnych metodach krytyki źródeł wypracowanych przez pozytywistów. Musi on ponadto rozszyfrować kod komunikacyjny tej kultury, w której źródło zostało spisane. Inaczej niczego nie zrozumie z tego, co czyta, lub zrozumie opacznie. Rozszyfrowanie kodu komunikacyjnego badanej kultury jest metodologicznie równie ważne, jak umiejętność odczytywania dawnego pisma lub znajomość języka, w którym źródło zostało zapisane.

Uwagi te mają charakter teoretyczny, może nawet hermetyczny, pozwolę sobie zatem zilustrować je paroma praktycznymi przykładami. W staroislandzkim zbiorze praw zwyczajowych zapisano tradycyjną formułę, którą przewodniczący zgromadzenia wiecowego wygłaszał, otwierając obrady: *at helga thing* (niech będzie święty wiec). Od chwili wypowiedzenia tych uroczystych słów na placu wiecowym obowiązywały szczególnie gwarancje pokoju i każde naruszenie porządku publicznego karane było z większą surowością niż gdziekolwiek i kiedykolwiek indziej. Samo brzmienie owej formuły zdaje się wskazywać na zakotwiczenie miru wiecowego w pogańskiej tradycji sakralnej. Przemawiają za tym rozmaite analogie. Już Tacyt pisał, że zgromadzenia wiecowe germańskich plemion otwierali kapłani; to oni nakazywali ciszę i to im przysługiwało w miejscu i czasie zgromadzenia wyłączne prawo stosowania przymusu. Podobnie przedstawia się rola pogańskich kapłanów jako strażników świętego miru wiecowego u zachodniosłowiańskich Wagrów w relacji kronikarskiej Helmolda z 1156 r. lub na szczecińskim wiecu z 1128 r., opisanym przez uczestników misji św. Ottona.

Wybitny badacz staronordyckiej literatury Klaus von See zakwestionował jednak sakralną konotację islandzkiej formuły uświęcającej obrady wiecu. Jego zdaniem miała ona sens wyłącznie świecki, związany ze wzmożoną ochroną porządku publicznego podczas tłumnych zgromadzeń. Powołał się on przy tym na inną normę tego samego zbioru praw, w której zapisano, że każdy może bezkarnie zabić lub zabrać z leśnego pastwiska świnię, których właściciel nie jest uprawniony do wypasania swojej trzody w tym miejscu. Jego świnię są tam *ohelgi* (dosłownie: „nie-święte”), czyli pozbawione prawnej ochrony. Rzekoma świętość wiecu – ironizował Klaus von See – ma w sobie tyle samo treści sakralnej, co świętość pastwiska dla świń. Wybitnemu skandynawiście wydawało się oczywiste, że świnią nie może być święta; co innego gołąbek lub baranek.

Pozorna oczywistość tego założenia opiera się na semickim wartościowaniu świata zwierzęcego, które europejska kultura przejęła z tradycji judeochrześcijańskiej. W oczach pogańskich Skandynawów oraz ich świeżo i powierzchownie schryścianizowanych potomków rzecz wyglądała jednak inaczej. Dla nich świnia mogła być równie święta jak baranek.

Klaus von See trafnie zaobserwował, że tym samym wyrażeniem kojarzącym się ze świętością określano w średniowiecznej Skandynawii treści religijne i prawną ochronę, którą my ujmujemy w kategoriach całkowicie świeckich. W staroislandzkim zasobie leksykalnym nie było wyrażen pozwalających te treści rozróżnić. Ale brak odrębnych wyrażen świadczy przecież o braku odrębnych pojęć. Inaczej mówiąc: w odniesieniu do ochrony rozmaitych uprawnień kod komunikacyjny tradycyjnej kultury plemion skandynawskich (a także innych plemion barbarzyńskiej Europy) nie rozróżniał tego, co święte, od tego, co świeckie. Klaus von See nie rozszyfrował tego kodu i w rezultacie zszedł na manowce.

Ze środowiskowymi różnicami kultur (czasem mówimy: subkultur) spotykamy się także we współczesności lub w źródłach spisanych całkiem niedawno. Pozwolę sobie w związku z tym przywołać publiczną wypowiedź urzędującego Prezydenta RP. Parę lat temu zapoznał się on ze swoją teczką przechowywaną w IPN. Taka teczka jest oczywiście źródłem historycznym, a właściwie zespołem źródeł wytworzonych przez Służbę Bezpieczeństwa. Po przeczytaniu tego, co funkcjonariusze owej służby zgromadzili na jego temat, Pan Prezydent w rozmowie z dziennikarzami streścił swoje wrażenia z lektury w jednym zdaniu: „to jest ubecka wizja świata”. Lech Kaczyński jest prawnikiem, a nie historykiem, posłużył się więc mową potoczną, ale wypowiedział myśl z punktu widzenia zawodowego historyka całkowicie trafną. Co to bowiem znaczy „ubecka wizja świata”? To zespół informacji dobranych, zinterpretowanych i zapisanych w kodzie komunikacyjnym innym niż kod komunikacyjny Lecha Kaczyńskiego, jego macierzystego środowiska i kultury zorganizowanej wokół wartości, które wyznawali warszawscy intelektualiści zbliżeni w czasach PRL do opozycji demokratycznej. Pytając informatorów z tego środowiska o Lecha Kaczyńskiego, funkcjonariusze zapisywali ich wypowiedzi na własną modłę, stosując kod komunikacyjny, do którego nawykli na zebraniach i szkoleniach przy ulicy Rakowieckiej. Zapewne dochodziło przy tym do nieporozumień i przekłamań, gdyż ubeckie notatki o doniesieniach informatorów z kręgu opozycji były (naprawdę!) produktem komunikacji międzykulturowej.

Pora zamknąć te uwagi pytaniem, które od dawna spędza humanistom sen z powiek: jakie są pożytki z uprawiania naszej dyscypliny? Witold Kula, jeden z promotorów orientacji antropologicznej w polskiej historiografii, porównywał historię do noża, którym można pokroić chleb, ale można też zarznąć bliźniego. Historiografia osądzająca chlubi się tym, że buduje nas moralnie, ale bywa też używana, pod szyldem polityki histo-

rycznej lub bez żadnego szyldu, do manipulowania społeczną świadomością. Historiografia pozytywistyczna chlubiła się tym, że dostarczała naukowo sprawdzonej wiedzy, a niektóre jej odłamy (zwłaszcza pozytywistycznie zorientowana część marksistów) liczyły na wykrycie praw historii, których znajomość pozwoli zapanować nad biegiem dziejów. Praw takich jednak nie wykryto, a próby zapanowania nad historią też nie skończyły się dobrze. Historiografia antropologiczna nie obiecuje wiedzy o prawach dziejowych, ale pomaga dostrzegać niejednorodność kulturową świata i obecne we współczesnych realiach ślady przeszłości, niekiedy bardzo odległej i zadziwiająco długotrwałej. Może to nam pomóc w rozpoznawaniu groźnych pułapek i przeszkód, od których, mimo pozorów uniformizacji, roi się nasza współczesność. Może więc nasza praca ma jakiś praktyczny sens.

Three kinds of historiography

Three kinds of historiography and the process of their development throughout the course of history are described in the paper. The first of them, known as long back as in antiquity, is the judging historiography. According to the Latin maxim *historia vitae magistra*, its objective is to provide the contemporaries with moral instructions through the assessment of past events. Following this one is the positivistic historiography that arose during the 19th century. It is meant to reconstruct the past as it was, with no evaluation. In this approach the possibility of an absolute objectivity is assumed, presenting sheer facts instead of judgments. The third kind – that is the anthropological historiography – was developed in the 20th century, as the possibility of avoiding judgments in the historiographical discourse, has been questioned. Even presenting irrefutable facts includes some method of information selection and thus is based on an assessment of importance that implies an axiology. The anthropological historiography relinquishes the judgment as well as objectivity and instead it chooses to comprehend past societies in the way of empathetic interpretation of human actions: positivistic method of source criticism needs to be enhanced with deciphering the communication code to which the source belongs.

Key words: kinds of historiography, judging historiography, positivistic historiography, anthropological historiography

